

BIBLIOTEKA
SZKOLNEJ

ISKIERKI

Bydgoskie

PISEMKO

MŁODZIEŻY

SZKOLNEJ

Nr 3

GRUDZIEŃ-STYCZEŃ

Rok 45/46





Zbliżają się święta Bożego Narodzenia, te najradośniejsze ze wszystkich świąt całego roku. Najradośniej witamy zawsze tę najmiłszą uroczystość. Radują się szczerze i serdecznie wszyscy: i najmłodsi i najstarsi, bo są to dla wszystkich ludzi dobrej woli święta najpiękniejszego i najwznioślejszego uczucia miłości, która w promieniach betlejemskiej gwiazdki spłynęła na ziemię. Nasi ojcowie z pokolenia w pokolenie przekazywali piękne, tradycyjne, polskie zwyczaje wesołego i szczerze radosnego święcenia Gwiazdki.

Dzieci polskie w ciągu ostatnich sześciu lat nie miały Gwiazdki. Marzyły o niej i tęskniły. Marzyliśmy i tęsknili wszyscy, a ciemna noc niewoli przesłaniała nam widok ukochanej polskiej Gwiazdki. Przez sześć lat pełni nadziei spodziewaliśmy się każdego roku, wierzyliśmy święcie i swoją wiarą pokrzepialiśmy zwątpiałe serca, że już następna Gwiazdka przyniesie nam wyzwolenie, że wszyscy rozłączeni przemocą wroga, wróć, połączą się, zasiądą do wspólnej wieszki wigilijnej i, dzieląc się białym opłatkiem, wypowiedzą sobie wszystko, co w głębi każdego polskiego serca było ukryte.

Sześć razy spotykał nas ciężki zawód. Aż oto siódma Gwiazdka zajaśniała nam blaskiem wolności. Pierwsza to Gwiazdka w wyzwolonej, niepodległej Ojczyźnie. O, jakąż wielką radością napełnione jest serduszko każdego polskiego dziecka! Cieszą się, kochane dzieci, że odwiedzi was polski gwiazdorz. Ubożuchny on jeszcze, bo inaczej być nie może po takiej strasznej zawierusze wojennej, ale nasz, prawdziwy polski gwiazdorz, serdecznie kochający każde polskie dziecko. Niesie on wam, kochane dzieci, gorącą miłość waszych rodziców, waszych nauczycieli i wychowawców, niesie wam miłość całego społeczeństwa, które wszędzie, a tak samo i tu u nas w Bydgoszczy już od dłuższego czasu pod przewodnictwem swego włodarza, Prezydenta Miasta ob. Twardzickiego, czyni przygotowania, by wam sprawić jak najwięcej uciechy i radości. Wasi kochani rodzice i wychowawcy wraz z najszlachetniejszymi obywatelami nie szczędzą wysiłków, ni trudów, myślą o tym i gorliwie pracują. Wy same, kochane dzieci, też przygotowujecie się. Wiem o waszych wysiłkach i wyrażam wam swoje szczerze zadowolenie i uznanie. Cieszę się wraz z wami waszą radością, ale najbardziej dumny jestem z waszych wysiłków, zmierzających do sprawienia radości waszym biednym kolegom i koleżankom, a zwłaszcza tym najbiedniejszym sierotom po poległych. Dając pomoc biednym, nieszczęśliwym swym kolegom i koleżankom, okazujecie w najpiękniejszej formie miłość Ojczyzny, miłość swych nauczycieli i wychowawców, którzy tak ofiarnie dają wam przykład, którzy nie szczędzą ani wysiłków ani trudów, ani nawet reszty zdrowia, by was wychować na najlepszych obywateli naszego państwa, by was nauczyć, jak żyć i pracować dla dobra i szczęścia nie tylko swego własnego, ale w pierwszym rzędzie dla dobra i szczęścia całego polskiego narodu.

Moim najserdeczniejszym życzeniem dla was, kochane dzieci, na tę nadchodzącą Gwiazdkę i ten zbliżający się Nowy Rok, jest to, byście radosnym uśmiechem waszego szczęścia osobistego opromieniły życie kochających was rodziców i waszych wychowawców.

Fl. Frankowski
Inspektor szkolny w Bydgoszczy

Najpiękniejsza
gwiazdka

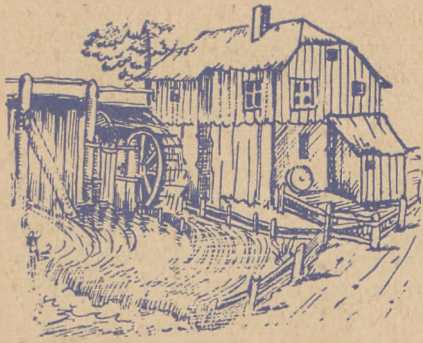
Ciemna noc grudniowa
gwiazdeczkami świeci
i raduje serca
wszystkich polskich dzieci.

Świecą gwiazdki z nieba,
wśród nich nasza ziemską,
najpiękniejsza z wszystkich —
— gwiazdka betlejemską.

Jaśniej nad światem,
w dobrych sercach gości —
— nieprzebrane źródło
szczęścia i radości.

O, moja gwiazdeczko,
kocham cię serdecznie,
świeć nad polską ziemią,
wolną odtąd wiecznie!

F. Łukasik.



MILCZĄCY MŁYN

Matka wzięła klucze, popatrzyła w okno i zawołała:

— Chodź, Pietrek, do komory! Potrzywasz mi worek.

Chłopiec skoczył na równe nogi. Już wiedział, że to zboże do młyna matka chce przygotować. Gdy ojciec wróci z lasu, zanieś. Może Pietrka zabierze ze sobą. Obiecał rano, że zabierze. A kto by nie lubił tam chodzić? W młynie jest tak tajemniczo, tak dziwnie!

W komorze podniosła matka ciężkie wieko sásieka. W jednej połowie była pszenica, w drugiej żyto.

— Trzymajże dobrze! Czy nie szkoda tych ziarn, które się rozsypały po ziemi? Każdego ziarnka szkoda.

Pietrek wie o tym dobrze, lecz jest mu trochę zimno, ręce sztywnieją. A po drugie — to trochę zamyślił się o młynie. Już jakby słyszał ten ciężki chróbot młyńskiego koła. Jakby słyszał chlupot wody, spadającej nieustannie na to koło. Ach, jakby to było ciekawe wejść do środka tego olbrzymiego koła i odbyć kilka karkołomnych obrotów! Co by to było! Raz głową do góry, raz w dół, raz...

— Jak ty trzymasz? Zgubiłeś oczy! Czy jak? Ale kołacz na święta to byś chciał mieć!

Na wspomnienie kołaczy robi się chłopcu słodko na podniebieniu. Teraz nie wie, z czego się więcej cieszyć: czy z tego, że święta nadchodzą i matka będzie piekla kołacze, czy z tego, że pójdzie z ojcem do młyna.

Tymczasem ojciec przyniósł weale niedobłą nowinę. Potok zamarzl i młyn stoi.

Pierwsza lamentuje matka. Bo do świąt już tylko parę dni, kiedy się umiele? A święta bez kołaczy — jakie to święta? Czemu to rychlej kto nie pomyślał o mieleniu, nie przypomniał? Wszystko na jej głowie.

Ojciec tłumaczy się, że nikt nie przewidywał tak rychłego przymrozku. Ale może jeszcze zelży.

Wiatr się zmienia, więc nie pewno zelży.

Lecz do wieczora nie się nie zmieniło. O wczesnym świcie pobiegł Pietrek do młyna na zwiady: jest woda czy nie. Niby zdawało się, że jest cieplej. Pod nogami jednak podbijała stopy twarda i wielokanciasta gruda. Tak, to grudzień daje znać o sobie.

Na potoku miejscami była woda, miejscami lód. Koryto, odprowadzające wodę na koło młyńskie, całe wypełniło się szklivem. Najciekawiej wyglądało koło — całe oblepione sopłami lodu, jakby świeczkami, które właśnie ranne słonko zapalało. Gdzieś pod spodem ciurkała woda.

Pietrek stał i patrzył. — Taka mocna woda, myślał, tyle pracy za człowieka wykonuje, a przecież mroz jest od niej silniejszy.

Z zamyślenia wyrwał go głos brata.

— Co ty sobie myślisz? Błakasz się, a robota czeka na ciebie.

Wracając dowiedział się Pietrek, że obaj muszą mleć zboże w żarnach. Jeżeli młyny stanęły, nie ma innej rady. Chłopiec krzywi się, bo ta robota weale mu się nie podoba. Kto wymyślił te obrzydłe żarna! Obracać wiąź w koło żarnówką, obracać ten ciężki kamień — chyba nie ma nudniejszej roboty!

Rad by się Pietrek czym wykręcić, lecz rozum mówi, że na święta bodaj chleb być musi. Pewnie, że z mąki żarnowej kołaczy nie upieczę, ale na zwykły chleb jest dobra.

Pot ciurkiem mu kapie, ale nie ustaje. Chce dorównać bratu, który nie tylko, że nie okazuje zmęczenia, ale potrafi w czasie szybkiego wirowania żarnówką sypać zboże w otwór, wykuty w środku kamienia. On też próbował tej sztuki, lecz się nie udało. Bratu się udaje, a mimo to narzeka. Że żarna ciężko chodzą. Że we wsi nie ma młyna parowego ani wiatraka. Że należałoby zbudować dla całej okolicy wielki młyn parowy. Że pierwsze święta w jego życiu będą bez kołaczy.

Tej nocy śniło się Pietrkowi, że właśnie była wigilia, a on jadł czarny, spleśniały chleb. I tak twardy był ten chleb, że nie się ugryźć nie dało. Tyle, że się człek zmęczył gryzieniem, a w ustach jak nie nie było, tak nie było. Straszna morderga z tym jedzeniem. Szczęście, że się przebudził.

Co to? Ciurkanie za oknem! Deszcz! Odwilż!

Bardzo się ucieszył. Nawet wyskoczył z łóżka, pobiegł do okna, by się upewnić, że mu się nie śni, że jest prawdziwa odwilż.

Deszcz rześił, a potok uwolniony znów szumiał radośnie. Pietrek aż podskoczył z tej uciechy. Nie będzie się dziś mordował przy żarnach, bo całą robotę wykona za niego i wielu innych — ten zwyczajny potok. A wykona szybciej i lepiej. Wobec tego kołacze na święta będą. Wobec tego święta będą, jak się należy.

Podszedł do łóżka i ciągnąc ojca za rękę, wołał:

— Wstajcie! Pójdziemy do młyna. Już woda jest!

Ojciec spojrzawszy na zegar, krzyknął ze złością:

— Nie hałasuj po nocy, tylko śpij!

— Woda jest! Słyszycie?

— A ciebie co opętało? Czy nie widzisz, że północy jeszcze nie ma? A może ci się zwiduje...

Pietrek z trudem mógł doczekać się rana. Wciąż mu się zdawało, że słyszy plusk wody spadającej, skrzypienie kół, warkot sita, i ciężki chrobot kamieni młyńskich, miazdzących twardą łuskę zboża. Ze z wszystkich zakamarków wyskakują duchy większe i mniejsze, które wtórując tym przeróżnym dźwiękiem, pomrukują: — Będą kołaczki, będą, będą...

Wład. Dunarowski.



PRZYGOTOWANIA WIGILIJNE

W chacie Andrzeja Skiby robota wre od samego rana. Skibowa, tęga, lecz ruchliwa niewiasta, skrętnie uwija się w kuchni. Otoczona jest gęstymi kłębami białawej pary, przesyconej zapachem warzącego się w garnku bigosu wigilijnego. Skibowa wstała dziś bardzo wcześnie, boć rzekomo ten, kto rano wstaje w wigilię, przez cały rok będzie wcześniej wstawał.

Południe już minęło, a praca nijak się nie chce kończyć. To groch wigilijny jeszcze twardy, to kasza gryczana nie ugotowana, a Andrzeja, który z rana poszedł po ryby, jakoś nie widać. Wprawdzie stary Gil obiecał, że ryby na wigilię będą. Rybak zwykle dotrzymuje słowa. Pewnie jeszcze z polowu nie wrócił.

— Jadwiń — woła Skibowa na córkę, która co dopiero skończyła obieranie grzybków do barszczu wigilijnego — ucieraj mak! Żwawo, śpiesz się! Słyszalaś, że dziewczyna, która na wigilię mak uciera, wcześniej wyjdzie za mąż. A tobie już idzie na szesnasty rok.

Jadwinia bierze przygotowaną donicę i drewnianym walkiem uciera sparzony ukropem mak.

— Czy będą także kluski do maku? — szczebioce mała Wikecia. Matka przytakuje.

— Tak się cieszę — mówi dziewczynka, skacząc na palcach — bardzo lubię kluski z makiem, bo słodkie.

— A ja wolę groch i gruszki — mówi Wojtek, który z małą wiązką siana wchodzi do kuchni. — Gdzie mam sianko położyć? — pyta. Matka wskazuje na krzesło w izbie.

Jadwinia siedzi naprzeciw okna, widząc stąd całą niemal drogę wiejską. Nagle woła: — Ojciec idzie! Pewnie będą ryby!

Ojciec wchodzi. Przyniósł tylko dwa szczupaki. Ryb mało było i cała wieś na nie czekała.

Ojciec i syn wychodzą do zajęć gospodarskich. Jadwinia oddaje matce donicę z makiem i idzie nakrywać do stołu. Rozkłada pachnące siano i nakrywa je białym obrusem. Po wieczery będą spod obrusa wyciągać słomki i przepowiadać sobie z nich przyszłość. Stawiając krzesła i ławy, woła:

— Mamo, będzie nas pięcioro, a mówią, że powinna zawsze parzysta liczba osób zasiadać do stołu w wieczór wigilijny.

Na to matka:

— Przyjdzie jeszcze stara Gołębowska. Kiedy onegdaj pomogła nam drzeć pierze, mówiłam jej, żeby z nami spożyła wieczerę wigilijną. Bardzo się ucieszyła. Poczciwa to starowina.

Przygotowania są prawie na ukończeniu. Wieczera wigilijna to nie zwykły posiłek. Przygotowuje się ją z pewnym namaszczeniem, nieomal z pobożnością, spełniając jakby obrzęd religijny lub ceremonię kościelną.

Już mrok zapada. Wkrótce zablśnie pierwsza gwiazda na niebie. Wtedy domownicy zgromadzą się naokoło stołu i przelamią się opłatkiem, a słowa życzeń i błogosławieństw niby modlitwa płynąć będą przed tron Tego, który z miłości ku rodzajowi ludzkiemu stał się człowiekiem — w świętą noc wigilijną.

Joanna Markowska.



WITKOWE PSTRĄGI

(Rzecz dzieje się w czasie wojny, na Podhalu)

Kłęcząc pod wielkim piecem kuchennym, Witek wpycha suche gałęzie w ognistą gardziel, wpycha bez przerwy, i wcale nie przejmując się tym, że w piecu nie chce się palić. On robi swoje, a ogień swoje. Nie jego wina, że piec wciąż zimny.

Tylko matka denerwuje się coraz bardziej. Bo kiedy będzie śniadanie? Kiedy się co zacznie gotować?

— Ale z ciebie niezdara! Ze szkoły wnet wyjdiesz, a do ognia gałęzi przyłożyć nie umiesz! Czy to jest palenie?

— Widzicie przecież, że przykładam.

— Nic nie widzę. Żadnego ognia. Garnki wciąż zimne. Ale jakie palenie, takie śniadanie.

Witkowi bardzo zależy na rychłym śniadaniu. Przecież już czas do szkoły. Więc zaczyna narzekać, że pewnie się nie doczeka tego śniadania, że chyba pójdzie o niczym. Lecz matki to nie wzrusza.

— Pal dobrze, to się doczekasz.

Najdziwniejsze to, że Witek wcale nie chce się doczekać. Ma zupełnie inne plany. Oho, jeszcze jakie plany! Na razie tego tylko pragnie, żeby matka mu dała zamiast śniadania kawałek chleba.

Lecz po matce nic nie widać, aby miała takie zamiary. Przeciwnie, nagania chłopca do pilnowania pieca, to ziemniaki prędej się ugotują. Bo jakby już zwieraly.

Witek coraz częściej spoziera na zegar. Chce dać do zrozumienia, że czas iść do szkoły, że kawałek chleba do torby zastąpiłby śniadanie. Ale matka jest niedomyślna. Szczególnie wtedy, gdy chodzi o chleb.

A właśnie dziś jest ta kromka bardzo Witkowi potrzebna. Umówił się z Ciastoniem, że on mu złapie w potoku ładnego pstrąga, za co dostanie kawałek chleba. U Ciastoniów bowiem jest tak mało pola, że chleba nigdy nie pieką. Nawet na święta. U Witka bodaj czasem upieką. Matka jednak nie popuści byle kiedy, bo chce, żeby starczyło jak najdłużej. Taka już jest ta Witkowa matka.

— Już ósma dochodzi — narzeka chłopiec, — będzie późno...

— Przykładaj!

Zrezygnowany przykładą, ale na złość wyszukuje mokre gałązki. Więc piec zatkany, ale ognia żadnego. Niby to próbuje jeszcze dmuchać, lecz i to nie wiele pomaga. Dym się wali z pieca i nie więcej. No, może teraz matka się domyśli! Może teraz!

Wreszcie dostrzegł, że wzięła duży nóż. Tak, to już pewne, że pójdzie do komory. Do komory po chleb.

Poszła.

Tymczasem Witek myśli sobie: jeżeli kromka będzie gruba, wówczas on sam coś z niej uszczypnie i jeszcze zostanie dla Ciastonia. A pstrąg być musi. Pojutrze wigilia, więc umyślił zanieść pani pstrąga. Chciałby koniecznie pokazać swej nauczycielce, że on też o niej myśli, a nie tylko ona o nim. O, bo ta pani jest strasznie dobra! Stara się o niego, książki pożycza, a nawet obiecuje, że po wojnie zabierze go do miasta i umieści w szkole, lub warsztacie. A co by to znaczyło wydostać się z tej biedy, gdzie ludzi tak gęsto, a ziemi i chleba tak mało! Wprawdzie Witek słyszał w szkole, że w Polsce jest jeszcze dużo wolnej ziemi, lecz nie ma takiego, kto by tę ziemię między ludzi biednych rozdzielił.

— Nie doczekasz się śniadania, to masz i idź! Choć po prawdzie nie powinnam ci dawać, boś marnie palił. Ale pamiętaj sobie, że więcej razy tak będzie.

Uszczęśliwiony Witek ścisną w dłoni kawałek chleba. Ścisną i całuje wzrokiem. To nic, że chleb jest czarny i suchy, więcej niż tygodniowy, że kromka mała, nawet bardzo mała, bo ważne to, że w ogóle jest. Mogło przecież nie być.

A zanosilo się na to.

Matka długo oglądała bochenek, zanim zdecydowała się ukrajać kawałek. Chodziło jej o to, by jak najmniej znać było ubytek. Na trzech morgach ziemi rozrzucić się z chlebem nie można. Niemal każde ziarno trzeba rachować, aby starczyło do nowego. A ile trzeba głowy nałamać, to tylko matka wie. A no, bieda i tyle. Brak ziemi, więc brak wszystkiego.

Witek pędzi szczęśliwy, że mu się tak udało. Teraz jest już pewny, że dostanie pstrąga. Może nawet dwa.

Tymczasem wrócił z niczym. Nauki nie było, bo nauczycielka poszła do rejestracji dzieci, które w tym roku wyjdą ze szkoły. Z przezorności chleba nie dał Ciastoniowi: niech by mu się co stało przy tej rejestracji, wówczas straciłby Witek i chleb i pstrągi. Czy Niemcom można wierzyć? Czy to można przewidzieć, na co im potrzebna ta rejestracja?

W południe rozeszła się po wsi wiadomość, że w czasie rejestracji zajęchało auto i Niemcy wszystkie dzieci gdzieś wywieźli. Czyli przewidywania niektórych były słuszne. We wsi lament. Wszyscy czekają, aż wróci nauczycielka, bo wtedy dopiero dowiedzą się prawdy.

W niemniejszej rozpaczy jest Witek. Bo kto mu złapie pstrąga? Tylko Ciastoń jest mistrzem od chwytania ryb. Tylko on wie, gdzie pstrągi są w potoku. A teraz nagle nic z tego. A tak już był pewny siebie, odkąd dusił w torbie ten kawałek chleba.

Po południu musiał Witek pojechać z ojcem do lasu po posłanie. Nijak nie podobala się mu ta jazda. Wciąż myślał o tym, co stało się z Ciastoniem i innymi? Czy prawda o tym zabraniu, czy nie? Wieczorem dowie się wszystkiego, ale jak doczekać się tego wieczoru? Czas wlecze się w nieskończoność, czas nudny i denerwujący.

Wreszcie ruszyli z naładowaną furą suchego listowia. Witek pędzi naprzód. Już chciałby być w domu. Już chciałby gnać we wieś, by dowiedzieć się wszystkiego.

Na progu wita go młodszy brat szyderezim uśmiechem. I niby od niechcenia rzuca przez zęby:

— Ale oberwiesz...

Wpędził sobie jakby nigdy nic. Nawet nie raczył spojrzeć na Witka. Przecież nie będzie się wdawał z takim winowajcą. Na zapytanie nie daje odpowiedzi. Czuje się lepszym i ważnym. To mu wystarczy. Tylko z łaskawości raczy coś bąknąć. Że nie wie. Że Witek dowie się wszystkiego od matki.

Witka zółé zalewa. Co, ten chłystek nie wie? Na pewno on coś zmalował i złożył na brata! Co tu się stało?

Matka odrazu wyjaśnia sprawę.

— Kto ukradł z półki kawałek chleba? Pod szmatką była kromka dla małych dzieci! Kto?

Witek usiłuje się oburzyć na takie posądzenie. Przecież ani mu się śniło. Gdzie? Kiedy? Lecz dowody są przeciw niemu. Matka trzyma je w swych rękach.

— A to co? Czyja torba? Nie twoja? Ten sam kawałek chleba! Co, będziesz się jeszcze zapierał?

Chłopcu na chwilę odbiera coś mowę. Nie od razu może się tłumaczyć. Natomiast lzy ciurkiem lecą po twarzy. Duże, kropliste lzy, jak grochy twarde, jak krzywda piekące.

Wreszcie matka dowiaduje się prawdy. Już nie krzyczy, nie dopytuje się, ale bierze nóż i idzie do komory. Za chwilę wraca z grubą pajdą chleba. O wiele grubszą od tamtej.

Uszczęśliwiony Witek biegnie do kolegi. Jest tak przepelniony wewnętrzną radością, że na chwilę zapomniał się troskać o los rejestrowanych. Dopiero przed progiem zatrzymała go myśl: wrócił, czy nie wrócił?

Z bijącym sercem chwycił za klamkę. Jest kolega! Nie wzięli go! Nikogo nie wzięli! Ktoś tylko plotkę puścił. Pstrąg także już jest!

Nazajutrz odbyła się w szkole piękna uroczystość gwiazdkowa. Tym razem dzieci trochę się zawiodły. Na twarzy swej pani nie zobaczyły takiej radości, jaką widzieć pragnęły i jakiej się spodziewały — choćby z uwagi na pstrąga, ofiarowanego przez Witka. Widocznie dużo innych przyczyn się złożyło, które nie pozwoliły nauczycielce cieszyć się w tak uroczystym dniu.

Było to przecież podczas najstraszniejszej z wojen, jaką przeżywał nasz naród i niemal cały świat. I coż, że Gwiazdka zabłysła na niebie, Gwiazdka miłości, kiedy ludzie tak okrutnie się nienawidzą i wzajemnie się wyniszczają! W tym dniu rodziny gromadziły się przy wspólnym stole na przelamanie się opłatkiem i sercem, a dziś tysiące rodzin, rozprószonych po świecie, daremnie oczekuje powrotu do ciszy rodzinnego domu. Wielu nie wróci nigdy.

Dopiero dwa lata później odbyła się w tej szkole pełniejsza uroczystość. Ta sama nauczycielka do zgromadzonej w szkole całej wsi czytała Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dnia 22 lipca 1944 r. Z tego Manifestu dowiedzieli się ludzie starsi, dowiedziała się młodzież, że część Polski już jest oswobodzona. I aby przyspieszyć odbudowę kraju i zaspokoić odwieczny pęd chłopstwa polskiego do ziemi, P. K. W. N. przystąpi natychmiast do urzeczywistnienia na terenach wyzwolonych szerokiej reformy rolnej.

W tym celu utworzony zostanie Fundusz Ziemi, na który złożą się ziemie odebrane Niemcom i zdrajcom narodu, oraz ziemie z parcelacji dworów. Te ziemie skupione przez Fundusz Ziemi zostaną rozdzielone między chłopów małorolnych, obarczonych licznymi rodzinami oraz robotników rolnych. Kto otrzyma tę ziemię, będzie odtąd jej właścicielem. A kto na miejscu nie będzie mógł dostać ziemi, ten będzie miał prawo do przesiedlenia na tereny odzyskane po Niemcach. W tym przesiedleniu pomoże mu Państwo Polskie.

Witek słysząc, że reforma rolna da ludziom ziemię i chleb, zaczął się dowiadywać szczegółów, dotyczących się tej reformy. Wreszcie dowiedział się, że teraz na wsi zajdą wielkie zmiany. Biedni otrzymają tyle ziemi, aby każdy miał chleba dosyć. Była ochota do pracy, w głowie rozum, i silne, zdrowe ręce!

Wład. Dunarowski.



WOJTUSIOWA CHOINKA

Wojtuś jest małym chłopczykiem. Chodzi do szkoły i uczy się pilnie. Umie robić różne zabawki. Co pani powie, to Wojtuś robi najlepiej. Zrobił małe koszyczki. Zrobił śliczną gwiazdyczkę. Zrobił długi łańcuszek. Wszystko to na choinkę.

Będą święta Bożego Narodzenia, to i choinki też będą. Pan Prezydent powiedział, że na te pierwsze święta Bożego Narodzenia w wolnej Polsce każde polskie dziecko powinno mieć choinkę. Każde grzeczne dziecko dostanie coś dobrego na Gwiazdkę. Wojtuś jest bardzo grzeczny. Na pewno dostanie upominek gwiazdkowy. Bardzo się z tego cieszy. Chce zasłużyć na nagrodę. Ale Wojtuś nie jest sam. Ma mamusię i małą siostrzyczkę. Mamusia ciężko pracuje dla swoich dzieci. Tatuś poszedł na wojnę i jeszcze nie wrócił. Mamusia jest bardzo smutna. Wojtuś pragnie rozweselić swoją kochaną mamusię. Wojtuś chce też ucieszyć małą Marysię. Mamusia Wojtusiowa nie ma pieniędzy. Nie może kupić choinki. Mała Marysia objęła braciszka rączkami za szyję i prosi: — Wojtusi, zrób choinkę! Ja tak bardzo chcę mieć taką małą, ładną choineczkę! Wojtusi, ja cię tak proszę, zrób choinkę!

— Ależ, Marysiu, jakże ja ci mogę zrobić choinkę? — Jak zechcesz, to zrobisz — mówi z przekonaniem Marysia. — Ty wszystko możesz zrobić!

Podrapał się biedny Wojtuś po głowie i zaczął myśleć. Bardzo mu było żal tych wszystkich pięknych choinek, które ludzie wycinają w lesie. Wojtuś wolałby, żeby te wszystkie najładniejsze choinki rosły w lesie. Żeby każdy mógł na nie patrzeć. Żeby każdy mógł się nimi cieszyć. Wojtuś nie ścinałby ani jednej ładnej choinki. Tylko tam, gdzie za gęsto rosną, zgodziłby się ściąć najgorsze, zupełnie nieładne. Chciałby mieć taką nieładną, żeby tylko parę gałązek miała. Wiedziałby, jak sobie poradzić. Zrobiłby z niej najładniejszą. Myślał Wojtuś, że może ktoś będzie miał taką choinkę, której nikt nie zechce kupić. Długo chodził i szukał, ale nie znalazł. Nikt takich choinek nie przywoził do miasta. Łatwo Marysi powiedzieć: — Wojtusi, ty, jak zechcesz, to wszystko zrobisz, ty wszystko możesz — myśli sobie Wojtuś. Myśli i drapie się po głowie coraz mocniej. Żeby to wszyscy byli tacy, jak on, to nie byłoby kłopotu. Wojtuś wie, że jak nie ma, to nie ma. Jak nie można, to nie można. Mamusia też wszystko wyrozumie i nie ma za złe, jak czego nie można zrobić. Ale takiej Marysi to nie nie przekona. Ona tylko jedno wie: — Zrób, Wojtusi, bo ty wszystko możesz zrobić. — Żeby ona przynajmniej tego nie powiedziała przy mamusi — myśli sobie Wojtuś — to dla Marysi można by coś znaleźć, co by ją zadowoliło. Ale słowa Marysi słyszała mamusia. Słyszała i tak jakoś dziwnie patrzyła w oczy Wojtusia, że jego honor zmusza go teraz do tego, aby on zrobił choinkę. Ale jak? Myślał bardzo długo, aż wymyślił. Klepnął się dłonią w czoło, aż Marysia drgnęła. Chwył kawałek kija, który ładnie ostrugał i pobiegł do swego kolegi Bolka. Ojciec Bolka był stolarzem. Miał dużo różnych świderków. Wojtuś z Bolkiem poprosili Bolkowego ojca o pożyczenie małego świderka do wywiercenia dziurek w kiju.

— A po co ci te dziurki w kiju? — pyta stolarz. — A to proszę pana, żeby gałązki świerkowe powtykać, to będzie choinka. Roześmiał się stolarz i pożyczył świderka. Obaj chłopcy wzięli się zaraz do wiercenia dziurek. Na zmianę jeden kręcił, a drugi trzymał, aż się spocili ze zmęczenia. Wywiercili dwadzieścia cztery dziurki ze wszystkich stron kija. — No, dosyć — mówi Wojtuś.

— Dziękuję bardzo za pożyczenie świderka i za pomoc. Ukłonił się i pobiegł do domu. Złapał do ręki ostry nóż i wystrugał kij, żeby w jednym końcu był zupełnie cienki. Rozrobił trochę farby i pomalował kij na taki kolor, jak świerkowa kora. Na drugi dzień z dwóch deszczutek zrobił krzyżowy stojaczek. Znow przy pomocy Bolka wywiercił w stojaczku dziurę. Wbił w nią pomalowany kij z dziurkami. — Będzie stał dobrze — mówi Wojtuś. — Nie przewróci się. Teraz szybko pobiegł do Janka, który obiecał mu dać kilkanaście gałązek świerkowych. Gałązki niepotrzebne Jankowi, obcięte z innych choinek, niósł Wojtuś z radością. Zupełnie małe wprawił przy samym wierzchołku. Niżej, po środku kija, zatknął średnie gałązki. Najniżej, u samego dołu wbił w dziurki najdłuższe gałązki. Marysia aż klaskała w rączki. Na czubku Wojtuś przyczepił gwiazdkę. Marysia zawiesiła aniolka. Wkrótce wszystkie zabawki znalazły się na choince. Zanim mamusia wróciła z pracy, choinka była gotowa.

— A skąd wy macie taką śliczną, równą choineczkę? — pyta mamusia. — Mamusi — piszczy uradowana Marysia i podskakuje do góry — to Wojtuś zrobił! Dopiero teraz mamusia dostrzegła, gdy się dobrze przyjrzała, że to nie była choinka naturalna, wycięta w lesie, tylko tak zmyślnie zrobiona przez Wojtusia.

Uszczęśliwiona mamusia ucałowała synka. Wojtuś był szczęśliwy, że uradował serce kochanej mamusi i spełnił prośbę siostrzyczki. Mała Marysia z tej wielkiej uciechy rozwinęła pierwszy cukierek, który otrzymała od mamusi i podzieliła nożem na trzy części. Największy kawałek dała do buzi mamusi. Średni włożyła do ust Wojtusiowi, a najmniejszy wzięła sama. Przy Wojtusiowej choince wszyscy czuli się dobrze. Do zupełnego szczęścia w kochającym się gronku rodzinnym brakowało tylko tatusia.

Franciszek Łukasik.

Pod choinką

O, zielona choineczko
z świecidlami, złotym czubkiem —
otoczmy cię piosneczką,
jak pasterze tam, przed żłóbkiem.

Zapalone wszystkie świeczki
światelkami zamigocą.
Przystaniemy, jak owieczki
zadziwione późną nocą.



Niech uśmiechem świat obdziela,
zajaśnieją ludziom w smutku —
niech się wszyscy dziś wesela.
Zejdźcie z góry, ach, prędziutko!

Franciszek Grott

PRZYGODA FRANKA

Ojciec Franka zginął w Oświęcimiu. Od tej chwili w domu nie było spokoju. Matka, stale zatroskana, gryzła się wewnątrz, chudła z dnia na dzień, zapadła wreszcie poważnie na zdrowiu. Męczył ją kaszel, pluła krwią, położyła się potem do łóżka. Na Franka spadły wielkie kłopoty. Nie było radości w jego dziecięctwie. Sąsiadki przyniosły wprawdzie czasem garnuszek zupy, ale Franek, wożąc wózkami podróżnym paczki z dworca, musiał zarabiać na życie.

Kiedy już Niemców odpędzono z ziemi polskiej, a miasto okryło się biało-czerwonymi chorągwiemi, i wtedy nie doli Franka nie polepszyło. Ludzie wracali z wojny, z obozów, z tułaczki. Ojciec Franka nie wracał. Już nikt go nie wskrzesi. Nawet nie wiadomo, gdzie grób jego. Matka chorowała coraz bardziej i umarła wreszcie. Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem!

Franek pozostał sam. Sam jeden — sierota! Tak się niedawno cieszył, że może chodzić znowu do polskiej szkoły. Uczył się dobrze, po lekcjach woził paczki, wieczorem zapalał światło i odrabiał zadania, a przecież i chorej matce trzeba było dopomóc. Tak marzył o tym, by pójść do szkoły zawodowej. Chciał sam zapracować na swoje utrzymanie, byle nauczyć się jakiegoś fachu. Teraz jest sam. Któż mu dopomoże?

Jest dzień wigilijny. Frankowi nikt świeczki nie zapali, ani piernika nie poda. Pelen smutku, przypominając sobie wieczory wigilijne, spędzone z ojcem i matką, bierze wózek i ciągnie go w stronę dworca.

Przed dworcem siadł na wózek. Czeka cierpliwie, ale pasażerów nie widać. Nikt dziś nie jeździ. Ludzie siedzą dziś w ciepłych pokojach, cieszą się w gronie najbliższych i dzielą się opłatkiem.

Tymczasem Franek siedzi na wózku, skulony z zimna. Z oka spływa mu olbrzymia łza. Franek siedzi obojętny i nawet jej nie ściera. Łza na policzku zmieniła się w lód i w świetle latarni błyszczy, jak brylant.

Zdrzemnął się Franek i śpi. Słyszy jakieś granie chórów anielskich. Gloria! Gloria! Widzi szopkę z Matką Boską i Dzieciątkiem. Zewsząd lud zbliża się do szopki: królowie, pastuszkowie i on — Franek między nimi, najbiedniejszy z gości w stajence. A twarz Dzieciątka Bożego z uśmiechem zwrócona w stronę Franka. Dokoła pełno światła od choinek. Światło błyszczy kolorami tęczy, zalamuje się w zamarznętej łzie na policzku Franka. I zdaje mu się, że słyszy słowa Chrystusa:

— Dopuszczcie dziećcom przychodzić do mnie, a nie zabraniajcie im, albowiem takowych jest Królestwo Boże!

Wtem zbudził ktoś Franka z tego odrętwienia. Ale to nie pasażer z bagażem. To jakiś pan w binoklach i czarnym płaszczu. Chwycił go za rękę i powiedział:

— Chodź ze mną, będziesz się uczył!

Pan ten zabrał Franka do bursy, w której mieszkała młodzież, ucząca się w tym mieście. Franek miał odtąd z nią mieszkać i chodzić do szkoły.

Nowi koledzy przyjęli go serdecznie. Zasiadł z nimi do wieczerzy wigilijnej pod choinką. Dobrze mu tam było. Kiedy zaczęli śpiewać kolędy, przypomniała mu się twarzyczka Dzieciątka ze snu. Uśmiechnął się do tej twarzyczki i razem z innymi śpiewał:

Podnieś rękę, Boże Dziecię,
Błogosław Ojczyznę miłą.
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę swą siłą!

L. B.

W NOC BOŻEGO NARODZENIA

Widowisko jasełkowe w 1 odsłonie.

Rzecz dzieje się w czasie okupacji, w lesie.

Z lewej strony sceny duża, zapalona choinka z gwiazdą betlejemską, błyszczącą na szczycie. W głębi, po lewej stronie, niewidoczna stajenka.

Scena I

(Noc. Niewidoczny chór śpiewa. „Gdy się Chrystus rodzi . . . Z prawej strony wchodzi na scenę dziadek”).

Dziadek: (przystaje i słucha)

Co za jasność, co za śpiewy?
Czy to zjawa, czy to sen?
W blasku toną drzewa, krzewy —
skąd te chóry, skąd blask ten?
Czy to w oczach mi się dwoi,
czy pomylił mi się czas?
Jasno, widno pośród choin,
w światłach stanął cały las.

Co za dziwy, gdzie tu stanął?
Co za czary, co za cud?
Czy mnie może dobry anioł
do niebiańskich zawiódł wrót?

Scena II.

Dziadek, chłopcy leśni.
(Wchodzą z lewej strony).

Chłopiec leśny I:

Dziecino Boża,
błądzącym po leśnych rozdrożach
do domu wrócić daj!
Złam niemiecką przemoc,
uwolnij od wroga kraj —
niechaj nad polską ziemią
kolędowy zabrzmie śpiew!

Chłopcy leśni:
Iśniegu biel męczeńską stuli krew!

Dziadek:
Chłopcy moi — to wy tu?
Wydeptuję leśne ścieżki,
przygarbiony, z pełnym mieszkim,
aż mi w piersiach braknie tchu.
Naznosiłem tu zapasów
wam, żołnierzom — chłopcom z lasu.

Chłopcy leśni:
Witaj dziadku, przyjacielu,
zdejmuj z pleców ciężki wór.
Idź — w stajence pod pościelą
z ciepłych futerek i mchu,
gdzie anielski słychać chór —
Dzieciatku się pokłoń. dary złóż.



Dziadek:

Co mówicie, mili chłopcy,
tu, wśród lasu, Boży Syn?

Chłopcy leśni:

Idźcie, dziadku, tam w tej szopce
Chrystus świat odkupił z win.
(wychodzą)

Scena III.

(Jasiek, Józek i Krysia)

Jasiek:

Chodźcie bliżej, tu się pali
jasnym ogniem płonie las.

Krysia:

Jasność taka, jak na sali,
większa od stu słońc i gwiazd.

Józek:

Co za dziwy, tyle czarów,
światel tyle, dymu nie!

Jasiek i Krysia:

To nie blaski od pożarów,
wczesny wstaje nieba świt.

(Chór mormorando: „Gdy się Chrystus...“)

Józek:

Co ty pleciesz, co ty pleciesz?
Trzy minuty po północy —
a tu światłość taka kroczy
i tak widno jest na świecie!

Wszyscy:

Słyszycie? Śpiewy słychać gdzieś.

Krysia:

Jaka piękna dźwięczy pieśń!

Jasiek:

I muzyki słychać dźwięk.

Krysia:

Chodźcie bliżej, chodźcie bliżej —
na polanie, w cieniu choin,
bydło kłęczy, uchem strzyże,
tyle ludzi obcych stoi.
(odechodzą)



Scena IV.

(Słysząc szumy, poświsty)

Diablik: *(tańcząc)*

Hyziu, hyziu na widelkach,
drży przede mną siła wszelka —
Hej, duszyczki, hej na lowy!
Hyc — a kasek mam gotowy.

Pan Twardowski:

Oj, diabliku, zacny panie,
miej nade mną zmiłowanie.
Wygnałeś mnie stąd na księżyc,
pozywałem wszystkie więzy —
jestem tutaj między swymi,
pozwól zostać mnie na ziemi.

Diablik:

Hyziu, hyziu, duszo marna,
nie kupilem cię za ziarna,
nie za mąki tysiąc miar.
Przyszedłeś i po sąsiedzku
odbyliśmy zgodny targ:
za szablęcę tę turecką,
za konika z uździenicą,
dałeś duszę; na księżycu
dla mnie pełnisz straż!

Pan Twardowski:

O, diabliku, miły panie,
na każde twe zawołanie
stanę, ty mnie znasz,
ale pozwól zejść z księżycą —
burza, wichry i śnieżycą
bezlitośnie smaga twarz.

Diablik:

Hyziu, hyziu, precz niecnoto —
zaprażyłeś srebra, złota,
zaprzedałeś się za kuźnia,
dziś w mej mocy, dziś za późno.
(Szumy, poświsty. Wybiegają)

Słysząc śpiew: „Jezu malusieńki . . .“

Scena V.

Jasiek, Józek i Krysia.

Krysia:

Taki malusieńki leży
Jezus na sianku, w stajence.
Biedny, aż nie chce się wierzyć,
Najświętszej kwili Panience.

Józek:

Chodźcie prędzej, chodźcie zwawo,
do Wacka, Witka i Broni —
niech szeroką ławą
idą Panu się pokłonić.

Krysia:

Zbudźmy wszystkich, całą wioskę,
niechaj zagra wichru szum.
Niech w tej nocy Dziecko Boskie
bawi gości miłych tłum.

Józek:

Chodźmy szybko, chodźmy prędzej,
niech wesoło w lesie będzie.
(odchodzą)

Scena VI.

Dziadek, zjawy leśne.

Dziadek:

Szumcie wichry, zbudźcie drzewa,
zbudźcie piosnkę spod igielek,
niech radośnie bór zaśpiewa
i rozświetni świat weselem.
Przeszło przez kraj nieszczęście wiele.
Popłynęły krwi strumienie
i gdy mrok się wokół ścieli,
wstają zewsząd drogie cienie.
Ale już się zła moc kruszy
i w odwrocie gnany wróg
cofnął się za Bug.
Wnet na zachód dalej ruszy.
Szumcie wichry, zbudźcie drzewa,
zbudźcie wszystkich z wiosek w krąg,
niech pieśń grzmiąca w chór się zlewa
i obwieszcza koniec mąk.
(siada na pniu i drzemie)

Zjawy I — harcerz:

Serce mi kula przebiła
i odtąd nieznany śpię.
Nie wiem, czy lat mi przybyło,
nie pamiętam, jak się zwę?
Że się biłem nie jak dziecko,
że zdusiłem w sobie strach,
aż pocisk wrogi zdradziecko
rzucił mnie na bruk i piach,
że do domu nie znam drogi —
idę i szukam, gdzie ogień
miłości w sercach nie zgasł,
choinki olśniewa blask —
o miejsce proszę przy stole.
(znika)

Dziadek: *(budząc się)*

Czym ja w domu, w dziątek kole,
czy wśród lasu. Może śniłem.
(drzemie)



Zjawa II: (Łącznik z powstania warszawskiego)

I ja się, jak żołnierz, bilem,
gdy w Warszawie powstał lud.
Czy można na mnie się gniewać,
że zmyliłem ślad, co wiódł
do waszego posterunku,
że nie doniosłem meldunku,
gdy mnie zwałała ulewa
kul z wrogiego kulomiotu.
Szumią mi huki nalotów.
Dziś przychodzę budzić,
skrytych w gąszczach, leśnych ludzi.
(znika)

Scena VII.

Dzieci wiejskie:

(wracają)

(Chór: „Pójdźmy wszyscy do stajenki . . .“)

Józek:

O, tam — widzicie — polana,
światłem niezwykłym skapana.

Krysia:

A nad stajenką na czubku
gwiazda betlejemską drży —
i tyle ludzi przy złóbką,
a tam konik z cicha rży.

Wacek:

O, pójdźmy już ramię w ramię —
uchwyćmy się za ręce
i rozweselmy darami
Dzieciątka Boże w stajence.

Jasiek:

Ja zaniosę Jezuskowi
bocheneczek świeży

Witek:

Ja kozuszek nowy —
niech w zimnie nie leży.

Wacek:

A ja zagram na harmonii,
ukolyszę rzewną pieśnią —
niech stajenka się rozdzwoni
kolysanką leśną.

(odchodzą w stronę złóbką).

Scena VIII.

Dzieci wiejskie, dziadek, chłopcy leśni, żołnierz oswobodziciel.

(Słychać kolędę: „Lulajże Jezuniu...“ a potem gwar, muzykę).

Dziadek:

Co to znowu, co za krzyki,
co za śpiewy, co za gwar —
i dźwięki słyhać muzyki,
O, jak dziwny nocy czar.

Dzieci wiejskie:

(wchodzą od strony stajenki)

Dalej, dziadku, z nami w kolo,
w skoczny, rażny puść się tan.
Dziś radośnie, dziś wesoło,
dziś nie będziesz, dziadku, sam.

Krysia i Zosia:

(tańczą w takt kujawiaka)

Raz dokoła, raz dokoła
puśemy się w skoczny tan;
po zajęciach, po mozołach,
zakolyszmy się, jak łan.
A kto z was tu nie chce dzielić
tej radości przy niedzieli —
niech zaklaszcze, niech przytupnie,
niech wesoło w deski huknie.
(podczas tańca dołączają się
chłopcy leśni)

Chłopiec leśny I:

Hej, wesoło, dziś wesoło,
zesłał Bóg nam hojny dar —
więc pochylmy ze czcią czoło,
niech pieśń spłynie z naszych warg.

Chłopiec leśny II:

Zaśpiewajmy, zaśpiewajmy,
Dzieciąteczku hold oddajmy.

(Śpiewają: „Hej, w dzień Narodzenia...“
Nagle słyhać wystrzały, popłoch, pieśń się
urywa).

Jasiek:

Co to? Co to znaczy? Strzały!

Józek:

Jakieś krzyki. Znów słyzałem.

Wartownik: (wbiega)

Alarm, alarm — oblawa!

Chłopiec leśny I:

Na stanowiska, kryć się!

Chłopiec leśny II: (po chwili)

Stój, kto idzie? Hasło!

Głos z dala:

Slawa!

Dziadek:

Czy ja marzę, czy to sen?

Żołnierz oswobodziciel:
Kto wy tacy? co robicie?

Chłopiec leśny I:
My tu w lasach w noc, o świetle,
dla Polski pełnymi straż.

Żołnierz:
Przynoszę wam wolność, bracia,
armii polskiej żołnierz, wasz!
Wojsko twarde boje stacza,
na zachód pędzimy wroga
po wszystkich ścieżkach i drogach.

Chłopcy leśni, dzieci:
Wiwat, wiwat, niechaj żyje!

Dziadek:
Wolność, wolność, czy słyszycie?
Jak trudno uwierzyć w cud!

Chłopiec leśny I:
Kres tułaczki, nowe życie,
uwieńczony krwawy trud!

Dziadek:
Dzieciatko Boże w stajence,
pobłogosław wolny kraj!
Rośnij Najświętszej Panienco,
a na ziemi pokój daj!

*(wszyscy zwróćeni w stronę stajenki, śpiewają
„Bóg się rodzi“ 5-tą zwrotkę: „Podnieś rękę...”)*

Franciszek Grott

LAS — PRZYJACIEL MŁODZIEŻY

Przed wiekami, gdy borów w Polsce było bardzo dużo, a roli mało, chłop w pocie czoła musiał pracować nad karczowaniem, aby powiększyć grunta uprawne, łąki i pastwiska. Mijały lata. Na skraju borów wyrastały zagrody, wprzód pojedynczo, potem niewielkimi obejściami, aż wreszcie na malowniczym tle lasów poczęły ukazywać się wioski.

Rolnik w zaraniu dziejów żył się z puszcza. Wykorzystywał jej bogactwa w postaci owoców leśnych, jak grzyby i jagody, stawiał na drzewach barcie dla pszczół. Słowem: mógł czerpać pełną garścią ze skarbnicy dóbr Bożych. Nie troszczył się wcale o budulec, miał też pod dostatkiem opału. W późniejszych nieco czasach, gdy wprowadzono prawidłowe użytkowanie lasu, rolnik nauczył się sztuki obróbki drewna, wypalania węgla, dobywania dziegieciu i smoły, a nawet terpentyny, co sprawiło, że rozpoczął zasobniejszy żywot, bowiem las dawał mu okazały zarobek.

I za naszej pamięci utarł się zwyczaj, że chłop obierał zwykle plac pod osiedle w pobliżu lasu, lgnąc siłą przyzwyczajenia do swego odwiecznego przyjaciela i zarazem karmiciela.

Z biegiem lat lasów stawało się coraz mniej. Ustępowały one miejsca polom uprawnym, a ludzie zaczęło przybywać. Rolnik odczuwał nieraz brak buduleca, czy opału, których ceny stałe wzrastały. Druga wojna światowa w 1939 r. przyniosła Polsce na długie lata najcięższą niedolę, największe bezprawia i najkrwawsze ofiary, jakie naród jakkolwiek w dziejach świata przeżywał. A las, ten wypróbowany nasz przyjaciel, przygarnął bezdomnych zieloną swą szatą, osłaniał patriotyczną młodzież, tych bojowników o wolność i honor Ojczyzny, którzy często bezimiennym bohaterstwem zapisałi się w złotych księgach narodu. Tylko dzięki ochronnym skrzydłom lasu wielu z nich ocalało, dając dotkliwą naukę żołdakom niemieckim, co to są mroczne wnętrza boru, bo właśnie nasi partyzanci, nasi chłopcy z lasu, nauczyli się cenić i kochać opiekuńcze ostępy leśne. Niejedną gwiazdkę obchodzili w lesie i niejedną choinkę w nim stroili.

Minęła okrutna wojna, jak mija burza. Zaczęło się budzić nowe życie, życie trudu i mozolnej pracy nad odbudową zgliszcz wiejskich i miast w gruzach leżących, nad odrodzeniem zniszczonych lasów.

Choć zgiełku walk już nie słyhać, mimo, że jesteśmy znów gospodarzami u siebie, las nie doznał spokoju. Dniem i nocą ludzie nieświadomi czynią mu krzywdę, rąbiąc bezprawnie i gdzie się tylko da, jak to robił niecny okupant.

Czy pozwolicie wy, młodzi, na takie wyrządzenie lasom niepowetowanej krzywdy? Do was zwraca się społeczeństwo o pomoc!

Stańcie w obronie lasów, które są wspólnym dobrem narodu i słowem serdecznym perswadujcie współobywatelom, nie pozwólcie kaleczyć lasów bezprzykładną, chaotyczną, rabunkową ścinką. Wszak lasy mają dać nam dach nad głową, mają nas ogrzać podczas nadejdującej zimy. A lasów w Polsce mamy coraz mniej. Przyrost roczny naszych lasów nie pokrywał zapotrzebowań przed wojną, a cóż dopiero teraz, gdy przed nami stoi odbudowa niemal że całej Polski.

Leśnicy, stojący na straży całości naszych lasów, zwracają się do was, młodzi, z apelem: pomóżcie im w dziele obrony wspólnego przyjaciela, jakim jest las, wstawiajcie się za nim, otwierając oczy współkolegów i współobywateli, ze względu nie tylko na piękno przyrody, lecz i trwałą korzyść, którą musimy zapewnić przyszłym pokoleniom z naszych lasów.

A odrodzony las polski wdzięcznym szumem uświadomienie obywatelskie i czyny wasze na wieki chwalić będzie.

B. Zarzycki, z Ministerstwa Leśnictwa



„GWIOZDCI IDĄ!”

Dzień wigilii Trzech Króli chyli się ku wieczorowi. Czyste, mroźne powietrze ścina wydechy ludzkie, zamieniając je w białe kryształki. Mieszkańcy wsi, położonej wśród wzgórz Pojezierza Kaszubskiego, czując przedsmak rozkoszy, jakie daje dzień świąteczny, śpieszą się, by dopełnić reszty przygotowań: znoszą wodę, rąbią drzewo, składają paszę dla bydła. Wioska i okoliczne wznie-

sienia usłane są w szatę śnieżną, której biel ze sporą domieszką fioletu, nabiera tonów sytszych, by w końcu przejść w granat. Na skraju wioski w wąwozie, ściśnionym przez pochyłe ściany wzgórz, płynie rzeka Radunia. Brzegi jej od kilku dni ścięte są lodem, a tylko środkiem przewala się bystry nurt, podobny do srebrzystej luski pelzającego z pośpiechem węża. Już gwiazdy migocą na ciemniejącym tle firmamentu. Przed chwilą przebrzmiał głos dzwonu na Anioł Pański.

W domu Franciszka Drywy każdy szczegół przypomina nastrój świąteczny. Izby czysto sprzątnięte z zatkniętymi za obrazy gałązkami świeżego świerka, sprawiają przytulne wrażenie dzięki licznym haftom, które pracowita gospodyni wykonała, a przedstawiających w przeróżnych układach kwiat tulipanów, główny motyw wzorów kaszubskich. Z sieni bucha przyjemne ciepło i smakowita woń świeżo upieczonych placek unoszą się wokół. Mała Ania, wykapaną, siedzi w łóżeczku i nawleka szklane paciorki, których całe pudełko przyniósł jej gwiazdor w wieczór wigilijny. Młodsza jej siostrzyczka już śpi. 17-letnia pomocnica domowa Zuzanna jest dziwnie niespokojna. Co chwila wybiega przed dom i upatruje czegoś w dali. Zdaje się nadłuchiwać odgłosów, dochodzących z chat sąsiednich. Śnać gromada cieni, posuwających się w kierunku domostwa Drywy, wzbudziła w niej zadowolenie, gdyż nagle zawraca i wbiega do kuchni, wołając głośno:

— Gwiazdci idą!

Na to hasło gospodarz, gospodyni i dziewczyna gromadzą się w izbie. Wkrótce potem słychać przeciągłe dzwonięcie i głośny tupot męskich skórzni, podkutych żelazem i sztywnych od mrozu. Kołędnicy otrzepują śnieg przed domem i pochwaliliwszy Boga, z hałasem wchodzą do izby. Jest ich pięciu. Najgroźniejszy z nich to olbrzymi niedźwiedź, który kroczy na tylnych łapach i czerwona paszczekę otwiera raz po raz, kłapiąc zębami. Prowadzi go kołędnik, ubrany w kozuch z wywróconym do góry włosem. Na głowie ma wysoką, również wywróconą na lewą stronę, czapę, z której zwisają pasy różnokolorowej bibułki, zasłaniającej twarz. Trzeci trzyma w ręku szopkę ze świeczką zapaloną w środku. Wyobraża pobożnego pastuszka, jednego z tych, którzy pierwsi powitali Boskie Dzieciątko. Są także diabeł i kominiarz z drabinką i skrzypkami. Obydwaj mają osmalone twarze: kominiarz z racji swego zawodu, diabeł, jako że z piekła rodem. Ostatnim jest król Herod, czdiany w czerwonej koldrę pluszową, którą zdjął z matczynego stołu. Ma na głowie złotą koronę i długa broda z lnianej przędzy zwisa mu na piersi. Jest blady. Widać, spodziewa się dotkliwej kary za swe zbrodnie.

„Gwiazdci“ stają w środku izby. Kominiarz ujmuje skrzypki i cienkim głosem wyciąga melodię kołędy:

— W żłobie leży,
któż pobieży
kołędować małemu...“

„Gwiazdci“ wtórują pełnymi piersiami. Diabeł, z natury przeciwny wszystkiemu, co święte, psuje pobożny nastrój. Podskakując pocieszenie, biega po całym pokoju, zagląda wszędzie i rogami bodzie to tego, to owego. Kiedy już przebrzmiała pierwsza zwrotka pieśni, skromnie na uboczu stojący pastuszek kłania się i rozpoczyna recytować swój monolog:

— Narodziłeś się, o Panie,
nam na zbawienie,
niech Cię chwalić nie przestanie
wszechludzkie plemię...

Mówi potem o holdzie, jaki składają Panu aniołowie i pastuszkowie, wspomina o przyjeździe z dalekich krain świętych Trzech Króli, wreszcie potępia zbrodnicze czyny okrutnego króla Heroda, kończąc gromkim głosem:

— Wieczna hańba twej krwawej robocie
i pobożnych wzgarda sere,
boś pacholąt betlejemskich krocie
na męczeńską wydał śmierć!

Niedźwiedź w tej chwili zaczyna pomrukiwać groźnie. Diabeł triumfuje. Nadziewając okrutnika na rogi, woła: — Tyś przekłęty! Tyś mój! Pójdź do piekła!

Na te słowa Heród slania się w kierunku szopki pastuszka tak nieszczęśliwie, że jego lniana broda w mgnieniu oka staje w płomieniach. Tylko błyskawiczna pomoc „gwiazdek“ — towarzyszy ratuje okrutnika od dotkliwego poparzenia.

Mała Ania ze swego łóżečka śledzi przebieg niesamowitych scen. Jest przelęknięta, lecz zarazem zaintrygowana do tego stopnia, że ledwie dyszy. Kolędnik z wywróconym na wierzch futrem podchodzi do niej, zanurza rękę w worku, który miał na plecach, wydobywa stamtąd kilka garści laskowych orzechów i z góry sypie je na pościel. Lekki trzask suchych owoców rozlega się po izbie.

Przedstawienie się skończyło. „Gwiazdki“, suto obdarzone przez gospodarzy, kłaniają się z podziękowaniem i wychodzą na dwór, aby zniknąć w ciemnościach wieczoru styczniowego. Znowu słychać dzwonienie, które w miarę oddalenia się gości słabnie, wreszcie milknie zupełnie. Znikły postaci Heroda, diabła, pasterza, a pozostaje wspomnienie owej nocy betlejemskiej, pełnej cudów, wspomnienie o najważniejszym w dziejach świata wydarzeniu — Narodzeniu Chrystusa.

Joanna Markowska.

A MOŻE I TY...

— No, już napisałem!

Od stołu podniósł się chłopiec 10-letni porządnie i dostatnio ubrany.

— Ja już też kończę! Poczekaj Janku!... Położymy te listy razem — prosi młodsza siostra.

Ostry dźwięk dzwonka rozległ się w pokoju. Janek skoczył do drzwi.

— Dzień dobry, czy nie przeszkadzam? Powiedz mi tylko, co na jutro zadane?

Wicek, kolega Janka ze szkoły, stoi nieśmiało w progu.

— Ależ wejdz! — Janek ciągnie Wicka za rękaw. — Pokażę ci nasze listy do świętego

Mikołaja.

— Wierzycie w niego? — dziwi się Wicek.

— Skądże?! Nie jestem przecież dzieckiem! U nas w domu jest taki zwyczaj, że piszemy niby do świętego Mikołaja, ale wiemy, że to rodzice kupują nam te rzeczy, o które prosimy. A ty, czego się spodziewasz?

— Ja... ja... — Wicek zmieszany czerwieni się. On wie, że nie dostanie. Ojciec leży ciężko chory po powrocie z Oświęcimia, matka zarabia praniem. Nieraz i chleba im braknie. Ale nie przyzna się... za nic! — Ja... nie pomyślałem jeszcze! — kłamie umyślnie.

— Pokaż zadanie. Spieszno mi. — Z podanego zeszytu przepisuje szybko.

— A dlaczego znowu nie byłeś w szkole? — pyta Janek.

— Pomagałem mamie w praniu. Wykręcałem bieliznę... wynosiłem wodę. Praca praczki jest bardzo ciężka... Zwłaszcza, jeśli jej się przedtem nie wykonywało — dodaje po cichu. — No, dziękuję. Cześć!

— Cześć! — Janek odprowadza go do drzwi.

Dziwne, że dopiero teraz rzucają mu się w oczy podarte, damskie buciki Wicka, letni, wytarty, polatany płaszczyk. Wicek często opuszcza lekcje... Ach, więc to dlatego...

Wolno wraca Janek do siostry... Nagle gwałtownym ruchem chwyta swój list do Mikołaja i ze złością drze go na kawałki.

— Anka! To są głupstwa, niepotrzebne głupstwa! Rozumiesz?! Doskonale mogę się bez tego samolotu i kolejki obejść! Widziałaś te jego buty?... Ten płaszczyk?... Słyszałaś, co mówił?

Dziewczynka patrzy na brata uważnie.

— Rozumiem — mówi cicho. I ja też. — Wolno drze swój list i wrzuca do kosza.

— Daj rękę! — cieszy się Janek — zuch z ciebie dziewczyna! Chodź!

Trzymając się za ręce, wchodzą do składu ojca.

— Tatusiu, my do ciebie z ważną sprawą: postanowiliśmy rzec się w tym roku gwiazdki.

Zdumiony wzrok ojca nie powstrzymuje Janka.

— Tak, zrzekamy się podarunków. Wystarczy nam choinka. Za to chcemy pomóc kole-dze z mojej klasy, Wickowi. On nie ma butów, ubrania. Kupimy lepiej coś dla niego na gwiazdkę. To będzie dla nas najmiłszym upominkiem!

Tatusiu, — prosi nieśmiało Anka — zaprosimy ich na wigilię... Chętnie podzielę się swoją częścią!

— Ja także! — dodaje gorąco Janek.

Ojciec gładzi jasne główki dzieci. Łzy kręją mu się w oczach. Dumny jest z nich.

— Podzielimy się wszyscy czym mamy. Jutro pójdziemy do rodziców Wicka i zaprosimy ich na wigilię. Przy okazji zobaczymy, czego im najbardziej potrzeba. Projekt wasz bardzo mi się podoba. Dobrze byłoby, żeby więcej dzieci tak pomyślało, jak wy...

A teraz zmykajcie! Ktoś nadchodzi.

Elżbieta Lipińska.



Polskiemu żołnierzowi na gwiazdkę

W noc ciemną i mroźną,
wy, polscy żołnierze,
za wolność ojezyny,
gdy szliście do boju,
to dzieci malutkie
mówiły pacierze,
abyście szczęśliwie
wrócili po znoju.

Dziś w Polsce już wolnej,
gdy gwiazdkę witamy,
to w kółku rodzinnym
przy blasku choinki
do ciebie, żołnierzu,
znów serca zwracamy:
i chłopcy najmniejsi,
i wszystkie dziewczynki.

Bo sława twych czynów
na świecie już słyńie
i twoje cierpienie
dla szczęścia współbraci;
więc pamięć o tobie
wśród dzieci nie zginie,
a każde serdeczną
miłością odplaci.

Niech pierwsza ta gwiazdka
wam serca weseli,
jasnością promienną
zabłyśnie wśród mroku,
abyście już nigdy
tych cierpień, nie mieli,
niech szczęściem was darzy
los w Nowym tym Roku.

Fr. Łukasik.

U „BABCY ZIMY”

Na wysokiej górze, pod chmurami, stoi domek biały. Mieszka w nim staruszka „Babcia Zima“, co wnuczatek ma gromadkę dużą. Bielusienkie, małe, zwinne. Skrzydelka u ramion, w lśniące gwiazdki suknie całe. A czy wiecie, jak się nazywają? Zimne puszeki — Śnieżne duszki. Teraz właśnie są u „Babcy Zimy“. Każdy mieszek trzyma w ręku.

— W kole zbiórka, moje duszki, — mówi Babcia Zima. — Podzielę was na gromadki. Dodam wam imiona świeże. Wy będziecie leśne duszki śnieżne, a wy polne duszki śnieżne, a tamte miejskie duszki śnieżne. Do pracy teraz!

Napełnijcie worki świeżym puszekiem. Schodzą duszki śnieżne do składnicy śniegu. Ida, ida, idą... Wehoda na sam czubek. Ile tam stopni, schodów, nikt ze śmiaków nie policzy. Szybko śnieżne worki napełniły. Już u Babcy Zimy po rozkazy się stawiały.

— Cóż nam każesz czynić? — pytają. — Lećcie na ziemię, sypcie śniegiem w prawo, w lewo. Okryjcie pola, lasy, sady. A nowe imiona wam mówią, gdzie pracować macie. Gdy worki opróżnicie, świeży śnieżek zabierzcie. Pożegnały wnuczki staruszkę. Leca. Każda gromadka w swoją stronę. Leśne duszki nad lasem krąg zataczyły. Sosny, świerki już drzeć z zimna przestaniecie. Sypią na nie śnieżnym puszekiem. Nowe, białe, flanelowe suknie macie. Tu i tam srebrne gwiazdki zawieszają. Nad polami przelatują polne duszki śnieżne. — Czy śpicie już, oziminy? — pytają z trwogą. Czekaście. Pierzynką puchową was okryjemy. Wysypały z worków puszeki białe. Grubą warstwą ziemię otuliły. Najwięcej pracy mają w mieście. Całe ulice i podwórka zasypały. Cheiały koniecznie dzieciom radość sprawić. A tu ludzie lopatami, miotłami szuru, szuru,... na wszystkie strony śnieg rozgarniają. I znowu duszki śnieżne leca do Babcy Zimy. Nowe zapasy przynoszą puszeku srebrnego. Jeden miejski duszek na szybie okiennej się zatrzymał. Jaka cudna gwiazdeczka! Ciekawie do środka patrzy. Tuż przy szybie stoi mała Krysia.

— Kto ty jesteś? — pyta śmiało. — Otwórz okno, to zobaczysz! Myślę, że mnie zaraz poznasz. Otworzyła Krysia okno. A ten biały gość zaraz do pokoju wleciał. Dziewczyna go na rączkę łapie. — Nie dotykaj, bo się stopię! Ach, duszę się! Żegnaj! Czuję, że już mdleję! Moje skrzydła! Żegnaj! Już uciekam!

Krysia patrzy, co się dzieje — nie ma ślicznej gwiazdeczki. Pozostała tylko kropelka wody.

Helena Jeszkowa.



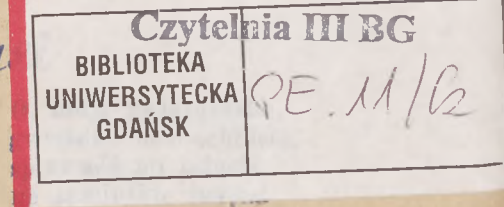
Życzenie Marysi

Malutka Marysia,
Wojtuś i mamusia
ciągle oczekują
powrotu tatusia.

Poszedł on do walki
za wolność ojczyzny;
wielu tam zginęło,
inni mają blizny.

Serduszek Marysi
coraz mocniej bije
i mówi cichutko,
że jej tatuś żyje.

Malutka Marysia
rączki w górę wznosi,
o powrót tatusia
dobrej gwiazdki prosi.



Na te pierwsze święta,
na ten Roczec Nowy
niechaj tatuś wróci
szczęśliwy i zdrowy!

F. Łukasik

NA SYLWESTRA

Adam zerwał kartkę kalendarza. Wymachuje nią nad głową brata, krzyząc: — Dzisiaj ostatni dzień starego roku. Chodź, braciszku, pójdziemy kupić nowy kalendarz dla ojca. — Jurek tylko na to czekał. Zarzucił płaszcz i już jest gotowy do drogi. Bardzo lubi chodzić do miasta z Adasiem. W mieście ruch wielki. Przez ulice trudno się przecisnąć. Nareszele są na Alejach Pierwszego Maja. Wchodzą do sklepu. Tu pełno ludzi. Kupują pocztówki, kalendarze ścienne, kieszonkowe. — Dlaczego tyle kartek kupują? — pyta Jurek brata. — przecież już po świętach. — Widzisz, w Nowy Rok przesyłają ludzie sobie wzajemnie życzenia. — A to ja tobie także kartkę wyślę. — Eee, gdzież tam, dzieciaku. Mnie to zwyczajnie złożysz życzenia ustnie. — Proszę dla mnie ładny kalendarz — zwraca się Adaś do właścicielki sklepu. Ta rozrzuciła przed chłopcami kilka kalendarzy. Szybko wybierają dla ojca na biurko i kieszonkowy dla mamusi.

Szczęśliwi biegną do domu. Mają więc prezenty noworoczne. W domu są już zgromadzeni krewni i rodzice. Mała siostrzyzka Ewunia niecierpliwi się. Adaś ma ją przepytac wiersza, który jutro rodzicom powie. — Adaś! Adam! rozlega się stale wołanie. Każdy coś chce od niego. Najstarszy jest, więc musi się rodzeństwem opiekować. Ewunia z Jurkiem biegną do Adasia. W rękę trzymają pocztówki. Zасыpują go pytaniami. — Adasiu, powiedz nam, kim jest staruszek na tej kartce? — Dlaczego patrzy na zegar? — To jest Stary Rok: 1945. Patrzy na zegar, czy już jest dwunasta godzina. Ucieka przed Nowym Rokiem. — A to co znaczy? — podsuwa nową kartkę Jurek. — O! widzicie! Ten młody, uśmiechnięty, chłopiec, to Nowy Rok. — A ten orszak za nim, to miesiące. Jest ich dwanaście. Pierwszy idzie groźny styczeń, potem luty, a potem który? — Marzec z kwietniem — wołają dzieci. — A te malutkie dookoła postacie? — To są dni. — Te w szarych sukniach to powszednie dni pracy. Te w czerwonych, to niedziele i święta. — Ale ich tu dużo. — O, tak. Jest ich razem w całym roku 365. — A co cztery lata jest dni 366. — Rok taki nazywa się przestępny. Wówczas miesiąc luty ma 29 dni. — Tak, tak. Wtedy są imieniny Leszka — mówi Jureczek. — Och, kiedyż przyjdzie ten Nowy Rok? Pierwszy w wolnej Polsce! Niecierpliwą się dzieci. Proszą rodziców, aby i one mogły go powitać. Po wielu, wielu prośbach pozwolono dzieciom czekać, ale w łóżeczkach. Ewunia jest bardzo senna. Ciężkie powieki opadły na oczy. Usnęła. Po chwili i Jurek chrapie. Czeka tylko Adam. On jeden nie przespał Sylwestra. Był na zakończeniu starego roku w kościele, a teraz czeka na szczęśliwy Nowy Rok. Zegar bije godzinę dwunastą. Na ulicy strzelają na wiyat. Dzwony kościelne dzwonią. Głoszą światu Rok Nowy 1946. Rok pokoju, miłości bliźniego. Domownicy składają sobie wzajemnie życzenia szczęśliwego roku. Adam myśli: — Raniutko wstanę i złożę rodzicom życzenia i dam prezenty. — Potem pójdę do babci i ciotki życzyć zdrowego i pomyślnego Nowego Roku. Co roku dostają od babci czekoladową świnkę i na szczęście pieniądze, aby cały rok je miał. — Tak mówi babcia. Zmęczony Adaś usypia twardym snem.

Helena Jeszkowa.

